
ROZDZIAŁ 6

Jądra ciemności. Tropikalne niziny

*Wyspa Frederika Hendrika (Yos Sudarso) –
ojczyzna Olmeków – Amazonia –
nizinne ziemie Majów – doliny Khmerów –
miasto Benin*

*In tropical climes there are certain times
of day,
when all the citizens retire
to tear their clothes off and perspire.
It's one of the rules that the greatest fools
obey,
because the sun is much too sultry
and one must avoid its ultraviolet ray.*

N. Coward, *Mad Dogs and Englishmen*

Twierdzeniu, jakoby nie mogło być cywilizacji na równiku, przeczy nieprzerwana praktyka. Zresztą Bóg wie lepiej!
Ibn Chaldun, *Maqaddima*

Uprawne bagna, czyli jak zamieszkać w piekle

Gdzie znajduje się piekło na ziemi? Gdzie ludzie mieszkają w zabójczym klimacie, na najgorszych glebach, oddychają najbardziej niezdrowym powietrzem i piją najohydniej cuchnącą wodę? W niniejszej książce już kilka miejsc kwalifikujących się do tej roli. Któż obcy z własnej woli osiedliłby się na stałe wśród saharyjskich Dawadów albo Nieńców znad Tazu? Dawne kolonie karne umyślnie lokowano w takich miejscach, żeby jak najbardziej uprzykrzyć życie zesłańcom – jak Devil's Island albo archipeląg Revillagigedo, gdzie z trudem tylko można się utrzymać przy życiu. Wyspa Marchinbar u północnych wybrzeży Australii zyskałaby i dziś wysoką lokatę w rankingu kandydatek

do roli piekieł. Niektóre metody obliczeniowe przyznają jej nie tylko najwyższy na świecie współczynnik śmiertelności, lecz także przestępczości, uzależnień i zachorowalności związanej z niską higieną i swobodą seksualną. Zamieszkujący wyspę potomkowie przymusowych robotników, brutalnie rekrutowanych i bezlitośnie wyzyskiwanych, a następnie porzuconych bez skrupołów, ulegli daleko idącej degradacji.

Moja kandydatka może na pierwszy rzut oka wydać się nieco bardziej gościnna, bo osiadłym tu ludziom udaje się z powodzeniem uprawiać ziemię. A jednak wyspa Frederika Hendrika, dziś zwana również Kolepom, Dolak albo Yos Sudarso, leżąca u południowych wybrzeży Nowej Gwinei, ma złą reputację krainy cuchnących bagien, niezdrowych miazmatów, niedających cienia zarośli i dotkliwych wahań temperatury. Otoczenie napawa jeszcze większą melancholią niż Fazzan czy północna Syberia – a w każdym razie nie ma nic z romantycznego dostojęstwa świata wydm czy lodu. Co ciekawe, w przeciwieństwie do przymusowo osadzanych kolonii, wyspa – acz wydaje się to nieprawdopodobne – przyciągnęła dobrowolnych osadników. Jest to więc piekło mieszkalne *sensu stricto*: dom, a nie miejsce kary. Dane z lat 70. XX w. podają liczbę 7000 osób, które na 6400 km² kultywują archaiczny styl życia i metody wykorzystania bagnistego terenu.

Wyspa ma kształt talerza – wyższe partie znajdują się na obrzeżu, tak że deszcz spływa do wnętrza. Tu nie pada zwyczajnie, lecz leje jak z cebra, w dodatku tak kapryśnie, że trudno jest siać i zbierać plony. Ziemia jest dokładnie przemieszana z wodą; różnica między nimi praktycznie zanika¹. Moskity lęgną się jak opętane. W porze suchej błoto gęstnieje, uniemożliwiając korzystanie z czołen na łączących wioski szlakach wodnych, które zatykają się lepkiem śluzowatym mułem. Pora zimna przychodzi nagle i jest na tyle surowa, że mnożą się wypadki zapalenia płuc. Prawie nie ma drzew; słońce przez cały rok świeci tak jaskrawo, że podróżować można tylko nocą.

Współcześni antropolodzy wystrzegają się potępiania ludzi za wzorce higieny odmienne od standardów współczesnego Zachodu. Ale na wyspie Frederika Hendrika muł czopujący kanały pokrywa również ludzi – tak szczelnie, że nie wyróżniają się z otoczenia. Serpenti nie zdołał się powstrzymać od napomknienia o grubej warstwie brudu, którą tubylczy Kimamowie lubią mieć na sobie. Gdy zaczyna przeszkadzać, zeszkrobują go nożem. Błoto służy również do higieny włosów. Smaruje się nim głowę, a kiedy wyschnie, usuwa wraz z przylepioną od środka warstwą wszy². To mityczna dzicz, gdzie istoty ludzkie żyją jak bydłeta, krótko i źle, nękani przez wyjątkowo złośliwą przyrodę i brutalnych wrogów w ludzkiej skórze. Mordercze trzęsawiska, jak się tradycyjnie (acz błędnie) uważa, musiały zostać zasiedlone przez ludzi niemogących żyć nigdzie indziej, uciekinierów szukających kryjówki. Pierwszy Europejczyk, który odwiedził wyspę, nie zobaczył krajowców, ale widząc ich domy i wszechobecny brud wysnuł wniosek, że muszą oni być „karłami, żyjącymi w nędzy i poniżeniu”³.

A jednak ludzie osiedlili się tutaj z własnego wyboru i dokonali cudów, zważywszy, jak niewiele dała im natura. Tradycyjne wioski mieszkańców bagien – dopóki nie zastąpiły ich tandetne, prefabrykowane domy dostarczane wyspiarzom przez współczesny rząd – robiły na turystach wrażenie „tropikalnej Wenecji”, po której tubylcy poruszali się czołnami tak wąskimi, że można na nich tylko stać, trzymając jedną stopę przed drugą. Nad powierzchnią mokradła sterczą sztuczne pagórki mieszczące odrębne domostwa, jedno do spędzania dnia, drugie nocy. Ponieważ drzew nie ma tu wiele, chaty zbudowano z sagowca i pokryto suchym sitowiem rozłożonym na rattanowych pierścieniach. Przed moskitami chroni je przemyślna osłona z wielokrotnie splatanych warstwami traw lub liści, gruba nieraz na dwie i pół stopy.

Grządki pod uprawę, użytkowane do dziś dnia, ulepione są z błota wzmocnianego matami z trzciny podobnie jak platformy, na których stoją domy. Budowa takiego zagonu trwa lata, zwłaszcza dla jamów i patatów, które wymagają suchszego podłoża niż kolokazja. Nadsypuje się je po trosze, żeby zminimalizować zmarnowany wysiłek, ponieważ utrzymanie ich wymaga ciągłej czujności. W czasie suszy bowiem pagórki kruszą się i osypują, deszcz zaś zmywa je z powrotem w trzęsawisko. Sąsiedzi pomagają sobie nawzajem, a wykonana praca nagradzana jest wspólną ucztą z *wati*, narkotycznym trunkiem, którego przygotowanie jest sztuką dostępną tylko nielicznym. Podaż *wati* spoczywa więc w rękach paru osób, na których poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności polega cała społeczność. Ludzką solidarność wymuszają nie tylko naturalne trudności, lecz także liczne tabu. Rodzinom spodziewającym się potomka nie wolno tykać kolokazji, jamów i niektórych innych roślin wchodzących w skład zasadniczej diety; stają się więc zależne od zbiorowej dobroczynności.

Kult *wati*, ongiś rozpowszechniony na całej wyspie z wyjątkiem jej zachodnich krańców, dobitnie pokazuje, jak wymagająca, a zarazem hojna jest tu przyroda. Nocne otępienia wywołane przez paralizujący narkotyk pomagają znieść trudy życia; ale żeby *wati* było skuteczne, musi zostać spożyte z dużą ilością jedzenia, które jest zwracane podczas gwałtownych torsji. Tylko posiadacze znacznych nadwyżek żywności mogą się tak rozrzutnie zabawiać. Rolnictwo nie jest tu jedynym źródłem zaopatrzenia: duże znaczenie ma zbieractwo i myślistwo. Pędy paproci *mapia* kruszone są na coś w rodzaju mąki, którą w odróżnieniu od uprawianych bulw da się długo przechowywać, stanowi więc zapas na wypadek suszy. W porze wilgotnej kangury skupiają się na nielicznych skrawkach suchego gruntu, gdzie masowo padają pod kijami łowców. W morzu jest pod dostatkiem ryb, które łatwo złapać tuż przy brzegu, jeśli się je otępi hojną dawką trucizny, którą później unosi odpływ⁴.

Skoro mieszkańcom wyspy Frederika Hendrika udało się tak wiele osiągnąć w wyraźnie niesprzyjających warunkach, nie powinniśmy być zaskoczeni, że lepiej usytuowane mokradła odegrały znaczącą rolę w historii cywilizacji. W regionach wyżynnych, gdzie opady przesiąkają do położonych głębiej niecek, pierwsze pola uprawne zakładane bywają właśnie na bagnach, jak na górzystej Nowej Gwinei (patrz s. 206), a podmokłe tereny mogą stanowić bazę ekonomiczną wielkiego imperium, jak w przypadku Azteków (patrz s. 202). Archeologia rolnictwa skupiła uwagę na suchszych ziemiach, gdzie występują w stratygraficznym porządku dobrze zachowane pozostałości wczesnych upraw i łatwo rozpoznawalne kuchenne paleniska – jak w legendarnych meksykańskich odkrywkach Richarda MacNeisha, który na początku lat 60. XX w. szukał praojczyzny uprawnej kukurydzy⁵. Woda prędko niszczy takie zabytki; nieraz trzeba wiele czasu, by powiązać ulotne, rozproszone ślady. Dowody na istnienie wczesnego bagiennego rolnictwa w Mezoameryce, na Nowej Gwinei i w niektórych częściach Afryki dopiero od niedawna zaczynają wychodzić na światło dzienne.

W Europie mieszkańcy bagien cieszyli się jednoznacznie złą opinią. Błota Prypeci postrzegane były przez sasiadujących z nimi Polaków i Rusinów jako region dziki i niebezpieczny. Anglia przez całe wieki gardziła Irlandczykami, mając w pamięci błota Zielonej Wyspy. A jednak dwa obszary nadmorskich mokradeł – archipeląg wenecki oraz Holandia (patrz s. 262) – stały się kolebką najświetlejszych i najbardziej monumentalnych osiągnięć cywilizacji Zachodu. Cywilizacja może zatem powstać, i często powstaje, na chybotliwym bagnistym podłożu.

Najbardziej uderzający przykład odnaleziono w Meksyku. Ponad 3 tys. lat temu budowniczy miasta znanego dziś pod nazwą La Venta zajęli (a może zajmowali je od

zarania; tego nie jesteśmy pewni) mangrowe zalewiska w nizinnej części stanu Tabasco oraz przyległe do nich tereny. Stworzyli oni pierwszą w dziejach Mezoameryki cywilizację, która zdaniem niektórych uczonych stała się wzorcem i pożywką dla wszystkich późniejszych kultur tego regionu. Kultura La Venta nazywana bywa również olmecką. Termin jest o tyle mylący, że archeolodzy i historycy sztuki stosują go do opisu wielu różnych zjawisk. Olmekom przypisuje się pewien styl w rzeźbie figuralnej i płaskorzeźbie – a raczej grupę stylów, jako że od stu lat nikt jeszcze nie dowiódł jednorodności obiektów klasyfikowanych jako olmeckie. Ich imieniem nazywa się też syndrom kulturowy przejawiający się w wielu środowiskach naturalnych Ameryki Środkowej i bynajmniej nie jest on ograniczony do terenów podmokłych. Termin jednak utrwalił się zbyt mocno, aby można go było odrzucić. I chociaż opinii jest niemal tyle, co znawców przedmiotu, można chyba założyć, że cywilizacja Olmeków narodziła się na bagnach. Świadczenia najwcześniejszego osadnictwa zagrzebane są wśród mangrowców, na skrajach mokradeł, lasów deszczowych, plaż i oceanu. Podobnie jak niektóre cywilizacje górskie, twórcy świata Olmeków żyli na ekologicznym pograniczu, gdzie mogli z korzyścią dla siebie czerpać z licznych mikrośrodków. Choć najstarszy znany nam monumentalny ośrodek został zbudowany u schyłku II w. p.n.e. na wzniesieniu nad rzeką Coatzacoalcos, wczesne wykorzystanie rolniczego potencjału bagien pozostaje w zgodzie z historią innych cywilizacji.

Bagna Tabasco były uprawiane na 1000 lat przed pojawieniem się pierwszych wielkich rzeźb i ośrodków kulturowych nobilitowanych mianem cywilizacji Olmeków. Było tu zawsze pod dostatkiem żywności łatwej do zebrania lub upolowania. Powierzchniowa warstwa zamulonych jezior pełna była wodnej fauny, na której z kolei żerowały stada ptaków. Zaskakujące jest nie to, że ludzkie populacje rozkwiły w tak bogatym środowisku, lecz że zachciało im się komplikować sobie życie zakładaniem miast. Budowali je przecież na całkiem nieodpowiednim podłożu, w upale, przy potwornej wilgotności powietrza, inwestując w to gigantyczny wysiłek. To novum zbiegło się w czasie z adaptacją wysokoplonowych odmian kukurydzy wymarzonej dla tego klimatu. Wraz z fasolą i dyniowatymi, które także lubią podmokły grunt, stworzyła ona roślinną świętą trójcę wplataną w diademy rzeźbionych bogów i wodzów⁶. W najwcześniejszej fazie tutejsze rolnictwo ograniczało się do naturalnych wzgórków utworzonych przez nawarstwione nanosy; istniała wszakże możliwość zwiększenia powierzchni upraw przez budowę sztucznych platform, a przynajmniej narzucania wybagrowanego szlamu na istniejące wzniesienia, żeby podnieść je wyżej nad poziom zalewów. Początkowo w naturalnych oczkach wodnych, później zaś w kanałach między poletkami można było hodować ryby, małże, żółwie, a może nawet i kajmany. Wciąż pokutuje teza, iż budowniczowie wspaniałych ośrodków ceremonialnych mogli byli zgromadzić nadwyżkę zasobów, jakiej wymaga takie przedsięwzięcie, trzebiąc las, wypalając pnie i siejąc ziarno bezpośrednio w popiele (patrz s. 117), ale jest ona bardzo mało przekonująca. O ile wiadomo, żadna społeczność stosująca tę metodę nie wzniosła się do zbliżonego poziomu cywilizacyjnego. Pod koniec II tysiąclecia p.n.e. olmeckie miasto w dzisiejszym San Lorenzo miało sztuczne jeziora i systemy odwadniające wplecione w sieć dróg, placów, piramid i usypanych ręką ludzką wzniesień.

Nawet w tym wczesnym okresie cywilizacje Nowego Świata już wykazują wspólne cechy kulturowe, które pozostaną charakterystyczne dla zachodniej półkuli. Oparta na symetrii estetyka preferuje wysokie ziemne kopce i ambitne założenia urbanistyczne rozplanowane wokół czworokątnych placów i świątyń. Prędko tworzą się wyspecjalizowane elity – wodzowie upamiętnieni w monumentalnej rzeźbie, pisarze i kapłani;

rytuały przywództwa wymagają krwi i ofiar z ludzi; ekstatyczny kult religijny ma korzenie w tradycji szamanistycznej. Wspólna dla całej Mezoameryki jest także rytualna gra w piłkę i oparta na wspomnianej wielkiej triadzie agronomii. Można prześledzić dalekosiężne powiązania handlowe, już bliskie pełnemu zasięgowi środkowoamerykańskiego obszaru kulturowego w epoce jego rozkwitu (jeśli prawdą jest, że używany przez Olmeków jadeit pochodził z Gwatemali, a teza o rozprzestrzenianiu się wyrobów olmekckiego rzemiosła jest cokolwiek warta). Nie oznacza to jednak, iż Olmeci mieli być przodkami wszystkich cywilizacji Mezomeryki, a tym bardziej całego kontynentu. Modele dyfuzyjne zostały już właściwie podważone przez posługujących się nimi archeologów, Olmeci zaś byli częścią złożonej konstelacji kultur pojawiających się w znacznie od siebie oddalonych miejscach. Nie sposób wszakże negować wagi ich wpływu na społeczności już rozwijające się w podobnym kierunku⁷.

Na naszym wyobrażeniu o Olmekach zaważyły ich sztandarowe dzieła, najstarsze monumentalne rzeźby Mezoameryki. Są to ogromne głowy, zwykle z bazaltu ściąganego lub spławianego z odległości kilkudziesięciu km. Ważące do 40 ton bloki obrabiane były przez artystów już na miejscu. Jedne przypominają jaguara, inne w pełni ludzkie, nieco kwadratowe twarze o migdałowych oczach. Niektóre są pełne wyrazu: maluje się na nich napięcie, „brwi ściągnięte, usta w chłodnym grymasie rzucają rozkaz”. Patrząc w zimne, twarde oczy głowy nazwanej z typowym dla akademików lekceważeniem „kolosalną głową numer osiem”, człowiek naprawdę czuje się jak w obecności olmekckiego Ozymandiasza⁸. Rzeźbiono je od XIII w. p.n.e. i stanowią dziś dla nas ważkie świadectwo artystycznej wrażliwości tego ludu. Ulubionym motywem twórczości Olmeków są postacie ludzkie – wyróżniają się one na tle innych wczesnych mezoamerykańskich cywilizacji. Rzuca się także w oczy zamiłowanie do zaokrąglonych, naturalistycznych form w przeciwieństwie do kanciastej estetyki większości późniejszych kultur.

Dobrze zachowane platformy ceremonialne z tej epoki możemy znaleźć na stanowisku archeologicznym La Venta. Dziś jest to wyspa otoczona namorzynowym bagnem. Kamień ściągnięto z odległości ponad 96 km. Miasto skupia się wokół sztucznego wzniesienia wysokiego na ponad 30 m. Na jednym z dziedzińców pod grubą warstwą ceglanego bruku odkryto mozaikę przypominającą stylizowaną maskę jaguara. Podobne wota zostały umieszczone i pod budynkami; możliwe, że w tym samym celu, w jakim wmurowywano relikwie świętych w fundamenty kościołów.

Pieczołowicie odtworzone przedstawienie trwającej ceremonii, zakopane w piasku, być może z intencją wotywną, zachęca nas do wyobrażenia sobie, co działo się na szczytach platform. Wśród gaju stel stoją w nieregularnym kręgu postacie odziane tylko w przepaski na biodrach i przystrojone w kolczyki. Mają rozdęte głowy, nasuwające myśl o celowej deformacji czaszki, otwarte usta, odprężone ciała. Nie mamy możliwości dociec, po co się zebrali. Na innych rzeźbach ci sami ludzie niosą dziecko będące pół jaguarem, pół człowiekiem, a także pochodnie i tyki o fallicznych kształtach. Czasem klęczą lub siedzą w niespokojnych, płynnych pozach, jak gdyby przygotowywali się do szamanistycznej przemiany w jaguara, którą nieodparcie sugerują podobne dzieła⁹.

Sarkofagi władców to wykonane w trwałym materiale kopie kostiumów, jakie nosili za życia. Widzimy więc istotę o ciele i nozdrzach kajmana, oczach i ustach jaguara i pierzastych brwiach wyglądających jak uniesione dłonie¹⁰. Przypomina człowieka-jaguara z częstych w olmekkiej sztuce obrazów przemiany szamana w zwierzę¹¹. Władcy leżą w podpartych kolumnami komorach, otoczeni pięknie zdobionymi regaliaми, wśród których są narzędzia do puszczania krwi wykonane z jadeitu lub kręgow płaszczki. Do dziś można oglądać portrety królów wryte na bazaltowych ławach tronowych

w La Venta, gdzie siadali, by przelać krew – własną lub jeńców. Ofiara kuli się pokornie u podnóża tronu, trzymana na linie przez majestatyczną centralną postać w masce orła, która wychyla się z kompozycji jak gdyby upominając widzów.

Ci pośrednicy między człowiekiem a naturą władali w sprzyjającym środowisku, lecz nie aż tak łaskawym, by mogło ich żywić bez końca. Ostatnie wielkie budowle w La Venta i San Lorenzo powstały prawdopodobnie w IV w. p.n.e. W następnej fazie cywilizacja wycofała się poza obszar bagnisk, do deszczowych lasów, z których wzniosą się lśniące grzebieniaste atyki miast Majów. Zanim udamy się tam, proponuję wycieczkę do największej i najbardziej reprezentatywnej dżungli świata położonej w dorzeczu Amazonki, aby ocenić przydatność tego typu środowiska do ambitniejszych prób życia osiadłego. Podróż ta wykaże, że jeśli nie liczyć terenów położonych tuż nad rzeką, las deszczowy jeszcze trudniej zaadaptować do ludzkich celów niż moczary.

Piękna, straszna Amazonia

W 1596 r., wspominając nieudaną pierwszą wyprawę do Gujany, sir Walter Raleigh wyobrażał sobie, że mając więcej szczęścia mógłby

dotrzeć do wielkiego miasta Manui, a przynajmniej zająć tyle bliższych miast i osad, że powróciłbym jak król; jednakże w owym czasie nie spodobało się Bogu obdarzyć mnie taką łaską. Gdyby los pozwolił mi znów ruszyć tym szlakiem, chętnie spędzę na nim całe życie; a jeśli kto inny tam trafi i dokona podboju, rzeknę mu tylko tyle: zdobędzie więcej niż Cortès w Meksyku lub Pizarro w Peru. [...] Gdy nad ziemią ową zapanuje jaki książę, będzie on posiadał więcej złota i piękniejsze królestwo, i więcej miast, i poddanych niżli król Hiszpanii albo sultan turecki¹².

W Gujanie nie było opisywanego przez Raleigha wielkiego „złotego” miasta – ani w ogóle żadnego miasta. Zadne dowody nie potwierdzają też obecności w tamtejszych lasach inkaskiego dworu na emigracji, którego trop sugerował sir Walter. Każdy odkrywca marzy o natknięciu się w dżungli na nieznaną cywilizację, nie każdemu wszakże dane jest spełnić to marzenie. Wiele szczęścia miał więc John Lloyd Stephens, dziennikarz, który pionierskimi wyprawami w latach 30. i 40. XIX w. zapoczątkował nowoczesną archeologię Majów. Radość odkrywcy błyskotliwie oddają ryciny towarzyszącego mu Fredericka Catherwooda. Ukazał na nich budowle i posągi Majów majaczące pośród lasu otaczającego je tak ściśle, że zdawał się do nich przywierać. Stephens, który był doskonałym pisarzem, nasycił relację z każdego znaleziska udzielającym się czytelnikowi podnieceniem i poczuciem triumfu. Przedzieramy się wraz z nim przez gąszcz, wyteżając oczy, by dojrzeć obiekt niewidoczny do chwili, gdy staniami u jego stóp. W 1841 r. w Mayapán Stephens pisze: „My pierwsi zwiedzaliśmy te ruiny. Przez długie stulecia pozostawały ukryte, prawie nieznanne, zmagaly się samotnie z tropikalną roślinnością”¹³. Kiedy zwały się „pielgrzymem Angkoru” Pierre Loti w 1912 r. nareszcie ukończył swą pielgrzymkę, miejsce było już sławne, ale zdołał uchwycić zaskoczenie widokiem wyłaniającym się zza kotary lasu: „Patrzyłem na osłonięte drzewami wieże, w obliczu których czułem się jak karzeł, gdy nagle krew zastygła mi w żyłach: ujrzałem nad sobą olbrzymią uśmiechniętą twarz, potem drugą, trzecią, piątą [...]. Przyglądały mi się ze wszystkich stron”¹⁴. Niemal 100 lat wcześniej H.C. Cornelius został skierowany przez gubernatora Jawy do Borobuduru, na pół legendarnej olbrzymiej buddyjskiej świątyni w centralnym rejonie wyspy. Dwustu mężczyzn przez sześć tygodni wycinało roślinność, by odsłonić budowlę¹⁵.

Dżungla jako gęsty las, szczelnie porastający tropikalne niziny, przywodzi nam zwykle na myśl środowisko wrogie budownictwu, rolnictwu i wszelakim przejawom cywilizowanego życia. Tym większy urok mają zaginione miasta. Nieraz jednak przeważa mit płodnej i hojnej przyrody, gdzie owoce same wpadają do ust, a jądła jest taki dostatek, że rozleniwiona ludność staje się niezdolna do podjęcia wyzwania, jakim jest żmudna budowa cywilizacji. Dopiero angielski *sahib* w wymiętym khaki, człowiek z zewnątrz, który tak naprawdę nie rozumie dżungli, może przełamać tę inercję, stworzyć plantacje i miasta. Pogląd ten jest tak daleki od prawdy, że trudno mu przypisać jakiegokolwiek zalety, natomiast brutalni kolonizatorzy, nadużywali go, przedstawiając swe ofiary jako zatrzymanych w rozwoju podludzi.

Fakty świadczą o czymś innym: płodne tropikalne lasy niełatwo jest zmusić, by produkowały w obfitości żywność dla ludzi. Konkuruje tu o nią wiele innych gatunków, toteż dostępny zasób jadalnych roślin nie jest wielki. Dlatego żyjący w dżungli zbieracze muszą się wciąż przemieszczać i dlatego niedoświadczeni podróżnicy giną z głodu w pozornie kwitnących regionach. Im więcej opadów, tym mniej urodzajna gleba; dobroczynne minerały są wypłukiwane, drzewa zużywają składniki odżywcze, warstwa próchnicza jest cienka, a poziom kwasów, glinu i tlenków żelaza – za wysoki¹⁶. Intensywne rolnictwo, nawet w dżungli wymaga kanałów irygacyjnych i starannie nadsypywanych poletek, takich jak nizinne uprawy Majów; ewentualnie musi korzystać z namulów rzecznych jak te, które żywiły Angkor nad jeziorem Tonle Sap w Kambodży, gdzie pora deszczowa trwa krócej.

Czy to groźny, czy otępiająco bujny, tropikalny las nie jest dobrym przewodnikiem impulsów cywilizacji. Uważa się nawet, że jest jej skrajnie wrogi. Takie właśnie przesłanie ma historia Tarzana – arystokraty z krwi i kości, którego dżungla zmieniła w małpoluda. Do tego samego w istocie archetypu – odwrócenia normalności – odwołuje się mit Amazonek. Pierwsi odkrywcy nazwali wielką rzekę imieniem legendarnych kobiet-wojowniczek, które spodziewali się zastać w głębi łądu. Zdobiąc mapę powstałą w oparciu o ich relację, Sebastian Cabot przedstawił Hiszpanów – niczym greckich herosów rytych na fryzjach świątyń – w walce z Amazonkami, a więc próbie okiełznania sfery tak dzikiej, że wykracza poza naturę¹⁷.

To prawda, że cywilizacje lasów tropikalnych dojrzewały wolniej; dżungla amazońska do dziś jest laboratorium ludów na pozór zatrzymanych przez naturę w stanie tzw. niedorozwoju. Niektóre z nich żyją wciąż tak samo od tysięcy lat i dopiero ostatnio zostały ujęte w rządowym programie „pierwszego kontaktu”. A jednak niecałe 500 lat temu Amazonia zaprezentowała obcym pierwociny własnej cywilizacji. Pod koniec 1541 r. przybyli tu Hiszpanie: 58 mężczyzn na prowizorycznej tratwie zbitej gwoździami wyklepanymi z kawałków metalu oraz w paru czółnach skradzionych lub wyżebranych od Indian. Stanowili oni część typowej ekspedycji w pogoni za mirażem – „krajną cynamonu” leżącą rzekomo na wschód od Peru. Cierpiąc srogi głód, przenieśli łodzie przez dział wodny i spłynąwszy rzeką Napo dotarli na Amazonkę. „Stało się zupełnie inaczej, niżesmy się spodziewali, albowiem na przestrzeni 320 km nie znaleźliśmy żadnego jądła” – napisał Gaspar de Carvajal, towarzyszący im zakonnik. Zamiast tego „Bóg zrządził nam udział w odkryciu dotychczas niesłychanym”. Była nim pierwsza odnotowana przez historię podróż Amazonką od ujścia Napo aż do Atlantyku. Na jej brzegach żeglarze mieli możliwość zobaczyć proteuszową cywilizację *in statu nascendi*.

Do wyprawy doszło przypadkiem i szkoda byłoby nie przytoczyć tu jej dziejów. Podróżnicy wcale nie mieli zamiaru opuścić pozostałych w obozie towarzyszy. Na

początku gnał ich głód. Potem, gdy poszukiwania okazały się bezskuteczne, byli już za słabi, żeby zawrócić pod prąd. Unosił ich przez wiele dni. Brat Gaspar odprawiał msze „jak na morzu”, nie konsekrując hostii z obawy, że wypadnie za burtę. Ósmego stycznia 1542 r., po 12 dniach rejsu, udało im się wreszcie dobić do brzegu, gdzie zostali nakarmieni przez miłosiernych Indian. Wzmocnieni na ciele, postanowili kontynuować rejs aż do morza. W tym celu należało zbudować bryg. Największym problemem były gwoździe, toteż dwóch najbardziej doświadczonych technicznie żołnierzy odelegowano do budowy kuźni. Wykonali oni miechy z butów zmarłych z głodu towarzyszy, a następnie zżarzyli drewno na węgiel do paleniska. Potem zrzucono na kupę wszystkie posiadane metalowe przedmioty z wyjątkiem najważniejszej broni i amunicji, i w ciągu 20 dni wyprodukowano 2 tys. gwoździ. Tak oto w brazylijskiej dżungli rozpoczęła się epoka żelaza.

Budowę brygu trzeba było odłożyć do czasu aż znajdą miejsce, gdzie łatwiej będzie zaopatrzyć się w żywność. Aż do końca podróży Hiszpanom nie udało się dojść do należytej wprawy w zdobywaniu jej na własną rękę, lecz przybywszy do gęsto zaludnionego odcinka brzegu, gdzie Indianie hodowali zółwie, zapewnili sobie hojne dostawy zółwiego mięsa, uzupełniane „pieczonymi kotami i małpami”. Zatrzymali się tu na 35 dni, które zajęła im budowa statku i ożaglowanie go płachtami tkanej przez Indian bawełny maczanej w smole, którą krajowcy „przynieśli, gdy kapitan ich poprosił”.

Wkrótce z rozbitków przedzierzgnęli się w załogę okrętu wojennego. Przez większą część maja i czerwca przedzierali się nim między czołnami wrogo nastawionych krajowców, strzelając głównie z kusz, bo proch wiecznie był wilgotny. Żywili się prowiantem zdobywanym w rajdach na nadbrzeżne wioski. W jednej z nich znaleźli umocnioną świątynię, nad którą górowały rzeźby jaguarów. „Budowla zaiste była warta obejrzenia i zdumieni jej wielkością, zapytaliśmy jednego z dzikich, do czego służy. Odrzekł, iż czczą w niej insygnia swoich władczyń Amazonek”. Dalej w dole rzeki doszły do nich pogłoski, które zinterpretowali jako wieść o istnieniu na północy potężnego, bogatego w złoto, srebro i lamy, imperium kobiet-wojowniczek władającego 70 wioskami. Historia ta musiała powstać jako wypadkowa naprowadzających pytań Hiszpanów i niezrozumiałych odpowiedzi tubylców. Wkrótce po tym, jak ekspedycja wypłynęła na Atlantyk przebywszy rzeką ok. 2880 km, Europę obiegnęła wieść o heroicznych bojach hiszpańskich żołnierzy z Amazonkami¹⁸.

Chociaż państwo Amazonek należy chyba włożyć między bajki, przekonanie o bliskości wielkiej cywilizacji pozostawało w zgodzie z obserwacjami poczynionymi przez Hiszpanów podczas spływu rzeką. Relacja Carvajala zawiera ważną lekcję dla badacza amazońskiej ekohistorii. Nie było to środowisko, które samo z siebie mogłoby wykarmić większą populację – ale można je było zmodyfikować w kierunku większej wydajności. A takie ambicje już zaczynały działać. Choć Hiszpanie na przestrzeni „640 km” nie znaleźli jadalnych roślin, widzieli jednak gęsto zaludnione obszary i rojne „miasta”, gdzie tysiące ludzi mieszkało w dużych drewnianych budynkach. Ta obiecująca społeczność żyła z połowu ryb i zółwi oraz uprawy gorzkiego manioku¹⁹ – rośliny śmiertelnie trującej, jeśli odpowiednio się jej nie przyrządzi. Po wyciśnięciu szkodliwych substancji jest wyjątkowo odżywcza, choć bogata wyłącznie w węglowodany. Archeologia dostarczyła dowodów na poparcie rewelacji Carvajala. Na wyspie Marajó u ujścia Amazonki podobny ekosystem był między 1500 a 500 r. p.n.e. ojczyzną społeczności budowniczych wielkich kurhanów i nasypów, która pozostawiła za mało materiału dla wiarygodnej oceny, ale której zabytki – w tym gęste skupiska palenisk

i kunsztownie malowana ceramika – nasuwają porównanie z ludami klasyfikowanymi powszechnie jako „cywilizowane”: Olmekami lub Budowniczymi Kopców znad Missisipi (patrz s. 113).

Temperament Amazonki, z punktu widzenia nadrzecznego rolnika, uwidaczniana się na równinach zalewowych nazywanych w Brazylii *varea*. W przeciwieństwie do Nilu wzbiera ona powoli, pozwalając bez pośpiechu zebrać plony, a potem raptownie opada i w ciągu kilku dni wraca do najniższego poziomu, dzięki czemu zostaje mnóstwo czasu na siew²⁰. Jeśli pola i wały przeciwpowodziowe są dostatecznie wysokie, kukurydzę, która dojrzewała w ciągu 120 dni, lecz po skiełkowaniu nie toleruje stojącej wody, można by tu zbierać dwa razy w roku. Mimo to główną uprawą Amazonii w całych jej spisanych dziejach był maniok, jedna z najwydajniejszych i najmniej wymagających roślin uprawianych przez człowieka²¹. Na przełomie XVII i XVIII w. jezuita Samuel Fritz – apostoł Amazonki, który poświęcił życie obronie swych nadrzecznych misji przed portugalskimi handlarzami niewolników – opisał to, co pozostało z protocywilizacji obszarów zalewowych. Indianie Omagua uprawiali wtedy grzędy manioku, ich domy zaś

mieszczą się przeważnie na wysepkach, plażach lub brzegach rzeki; wszystkie te miejsca położone są nisko, narażone więc na zalanie, ale choć wciąż ponawiane doświadczenia uczą, że gdy przybór jest wysoki, zabiera pola, a częstokroć i wszelkie środki do życia, ludzie tutejsi nie mogą się zdecydować na to, by przenieść swe domy i uprawy na wyżej położony grunt nieco dalej od rzeki. Powiadają, że ich przodkowie zawsze mieszkali nad wielką wodą²².

Rozterki Fritza były udziałem wielu ludzi Zachodu, którzy próbowali cywilizować mieszkańców podmokłych terenów w tropikach; błędne przekonanie, że ludziom będzie lepiej na suchszym gruncie, kosztowało życie wielu mieszkańców wyspy Frederika Hendrika już w czasach niemal nam współczesnych. Sam Fritz omal nie zginął z głodu po powodzi w 1689 r. Mieszkał wówczas nieco niżej wśród Indian Jurimagua, w których tradycyjnej waleczności i zwyczajowi posyłania do bitwy wojowników obu płci dopatrywał się ogniwa łączącego rzekę z mitem Amazonek. Jego kłopoty (biedak musiał w końcu imać się żebrani²³) były jednak rezultatem raczej braku wprawy w tropikalnym *survivalu* niż niedoborów miejscowego rolnictwa.

Fritz zauważył, że tubylcy zbierają plony w styczniu i lutym, przed powodzią. Wysoki stan wód utrzymywał się od marca do czerwca. Zapasy kukurydzy przechowywano w domach, maniok zaś i tapiokę zakopywano w jamach, gdzie leżały, przeważnie pod wodą, nawet rok lub dwa.

Chociaż bulwy czy to słodkiego, czy gorzkiego manioku gniją, po odciśnięciu okazują się lepsze i bardziej odżywcze niż świeże. Robi się z nich napoje, mąkę oraz chleb. Dopóki trwa powódź, ludzie żyją na platformach w koronach drzew, między nimi zaś przemieszczają się w czółnach. Nic w tym dziwnego, skoro całe życie spędzają nad rzeką, po której wiosłują i łowią ryby, toteż nabrali w tym większego kunsztu niż jakikolwiek inny naród.

Większość osad opisanych przez pierwszą ekspedycję znikła, nim dotarła tam następna. Los mieszkańców jest nieznan; możliwe, że wybiły ich zarazki pozostawione przez odkrywców. W istocie kultury lasu deszczowego są wątpliwe nawet w najlepszych warunkach.

W głębi lasu, poza pasem nadrzecznego osadnictwa, budowa cywilizacji jest jeszcze bardziej ryzykowna. Zachodni krytycy miejscowej agronomii twierdzili ongiś, że ciągle oczyszczanie lasu pozwoli uzyskać ziemię uprawną; dziś wołają promować odpo-

wiedzialną ekologicznie, zrównoważoną gospodarkę leśną, godząc się na niskie plony i koncentrując na zbieractwie naturalnych produktów. Niektóre, jak choćby opromienione polityczną poprawnością amazońskie orzechy, robią dziś karierę wśród łasuchów w Stanach Zjednoczonych. Opakowania lodów Rainforest Crunch krzyczą feerią papuzich barw, nadając ponuremu obrazowi mrocznej dżungli optymistyczną paletę. Jednakże z postulatem zrównoważonej eksploatacji lasów nie godzą się żądania wiecznie żądnych ziemi rzeczników wyrębu, którzy woleliby widzieć w miejscu dżungli pastwiska albo kopalnie odkrywkowe. Ziemię pod uprawę przygotowuje się niemal wszędzie metodą wypaleniskową. Stosujący ją Indianie Munducuru znad rzeki Tapajós w ciągu trzech dni wyrąbują połąć lasu szerokości 100 m, zostawiają ją na dwa miesiące, żeby przeschła, a potem podpalają. Natępnie robi się dołek patykiem, wtyka weń ziarno lub sadzonkę i przydeptuje. Ziemia odzyskuje z popiołu azot i składniki mineralne. Część organicznych szczątków wyciętego lasu pozostawia się na ziemi, by odciągnąć szkodniki i zapewnić kolejną fazę uwalniania substancji odżywczych. Te działania jednak nigdy nie kompensują jałowienia odstoniętej gleby, w której nie może nagromadzić się próchnica. System taki zmusza plemię do ciągłych przeprowadzek, albowiem żadnego poletką w dżungli nie da się uprawiać dłużej niż trzy lata²⁴.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że większość ludów lasu deszczowego starała się czynnie zarządzać swym środowiskiem w stopniu, na jaki im pozwalało. Istnieją społeczności wyłącznie zbieracze i niemal całkowicie podległe naturze, ale większość regionu nosi piętno celowej działalności człowieka. Pochopne frazesy o „pierwotnej” lub „dziewiczej” dżungli mijają się z prawdą²⁵. Niektóre kultury tego regionu zbliżyły się do poziomu ambicji i ingerencji uznawanego za cywilizowany nawet przez tak wybrednych sędziów jak Hiszpanie czasów konkwisty. W tym kontekście nie dziwi – a przynajmniej dziwić nie powinno – że dwie wspaniałe pod każdym względem cywilizacje utrzymały się przez wieleset lat w pasie lasów równikowych, gdzie spada ponad 2 m wody rocznie. Majowie w Ameryce Środkowej i Khmerzy na nizinach centralnej Kambodży pokazują, jak można połączyć niebywały splendor z heroiczną walką o przetrwanie w tak trudnych warunkach.

Kamienny język Majów

W długim okresie intensywnego rozwoju między 200 r. p.n.e. a 900 n.e., społeczności Majów zbudowały w dżungli dziesiątki miast. Stworzyły też (lub dopracowały przejęty od Olmeków prototyp) jedyny w Nowym Świecie rozwinięty system pisma mogący wyrazić wszelkie przejawy ludzkiej myśli – w każdym razie jedyny, jaki dotąd udało się zidentyfikować. Spisywali szczegółowe kroniki, dzięki którym pewniej datujemy wydarzenia z czasów dynastii Macaw, panującej w Copán na terenie dzisiejszego Hondurasu w V w. p.n.e. niż dzieje współczesnych im władców europejskich. System liczbowy Majów, wykorzystujący zero, stosowany był do obliczeń astronomicznych obejmujących miliony lat. Zawodowi artyści tworzyli dzieła zapierające dech swym kunsztem. Mamy więc filigranowe rzeźby w jadeicie tak twardym, że z dostępnych materiałów tylko on mógł być użyty do obróbki; plastyczne steatytowe portrety, bogato emaliowane kadzielnice z Copán, wyroby z gliny i stiuku, misternie malowane wazy; freski jaśniejące kolorem świeżej krwi przelewanej na wojnie i ołtarzach ofiarnych; malowidła w różnych stylach, od uderzającego realizmu do półabstrakcyjnej geometrii.

Świat Majów składał się z miast-państw rządzonych (przynajmniej w najlepiej udokumentowanym okresie) przez wojowniczych monarchów. Wiemy, jak wyglądali; pozostały ich zdumiewająco żywe podobizny²⁶. Pacal, który władał Palenque w latach 615–684, został pochowany pod ogromną piramidą pokrytą reliefami przedstawiającymi zwycięstwa jego przodków. Na pokrywie sarkofagu widnieje w roli praojca boskiej rasy królów. Z jego lędźwi wyrasta święte drzewo *ceiba* o chwiejnych, jakby pijanych korzeniach, pniu nabrziałym nasieniem i konarach rozpościerających się nad światem. Panujący w latach 725–784 król Quirigui, niewielkiego miasta, które czasem płaciło trybut Copán, a czasem z nim wojowało, rządził na prowincji, ale swojej stolicy dał największy plac ceremonialny w całym świecie Majów, zdobny co najmniej 17 wielkimi pomnikami jego królewskiej osoby. W Copán znajduje się najdłuższa na świecie wryta w kamieniu inskrypcja. Zdobi ona pionowe powierzchnie monumentalnych schodów, sławiąc podboje królów i wielkość ich przodków. Przy odrobinie wyobraźni można na podstawie znajdujących się w British Muzeum fragmentów odtworzyć scenę, w której rządzący Copán w latach 763–810 Yax Pac udaje się do komnaty ozdobionej kosmologicznymi malowidłami, żeby upuścić sobie krwi z penisa. Celem tej ofiary było także wywołanie niby-sennych wizji, w których królowie Majów jednoczyli się z bogami. Ich żony solidarnie przebijały sobie języki ostrym cierniem. Oto Tarcza Jaguara z Yaxchilanu bierze maskę jaguara z rąk żony, której twarz jest jeszcze umazana krwią, i nakłada ją na głowę. Jest dwunasty dzień lutego 724 r. Gdy monarcha w ceremonialnym stroju stanie znów przed ludem, by poprowadzić obrzęd lub wyprawę wojenną, nie jest już tylko królem, a przedstawicielem lub wcieleniem boga²⁷.

Największym miastem Majów było prawdopodobnie Tikal położone na dużej, płaskiej polaci gwatemalskiej dżungli w regionie Petén. Ma ono wyjątkowo dokładne dossier archeologiczne i historyczne, możemy więc prześledzić jego losy od początków poprzez chwile wielkości aż do ostatecznej nagłej katastrofy – drogę w zasadniczych zarysach wspólną wszystkim wielkim ośrodkom nizinnej cywilizacji Majów. Inskrypcje w Tikal podają daty historii legendarnej od 1139 r. p.n.e., lecz monumentalne budowle pojawiają się ok. 400 r. przed Chrystusem, a kult władców każący uwiecznić ich postacie i czyny rozpoczyna się dopiero w III w. n.e. Imiona królów znamy począwszy od 292 r. n.e.

Przepyszną świątynię i zespół pałacowo-kultowy otaczało zapewne 50-tysięczne miasto. Większość ludzi mieszkała w trzcinowych szałasach na gęsto bitych palach. Przedstawione są one na płaskorzeźbach zdobiących ściany pałaców arystokracji; zresztą wiejska ludność do dziś stawia podobne. Żywili się mięczakami i rybami odławianymi planowo w kanałach odgradzających podniesione zagony, na których uprawiano warzywa dyniowate, a być może także „chlebowe orzechy” – owoce mlekwca, który dziś częściej jest cenioną rośliną ozdobną. Najważniejsza jednak była kukurydza²⁸.

Kukurydza jest wyjątkowo pożywnym i wydajnym energetycznie zbożem. Przed pojawieniem się osadników z Europy stanowiła podstawowy składnik diety prawie każdej cywilizacji Nowego Świata. Tak jak wiele innych ludów obu Ameryk, Majowie traktowali tę roślinę jako boską: skiby na polach były służkami boga kukurydzy, który poświęcał się, przyjmując kształt pożywienia. Człowiek musiał także odwzajemnić się ofiarą. Kiedy król nie pełnił obowiązków wodza wojennego, jego najważniejszą rolą było zjednanie sobie sił natury. Oddawał więc bogu krew własną oraz ofiar ludzkich i zwierzęcych, schwytanych podczas wojny lub polowania – pekari i jeleni, które możemy zobaczyć na niezwykle swobodnej w rysunku płaskorzeźbie z muzeum

w Méridzie, jak niosą je na ramionach do miasta myśliwi, ewentualnie młodych jaguarów, których kości także znajdujemy wokół miejsc ofiar.

W XIX i na znacznej przestrzeni XX w. większość uczonych wyobrażała sobie Majów jako niezwykle pokojową rasę zapatrzonych w gwiazdy ludzi rządzonych przez kapłanów-filozofów. Rozszyfrowane wówczas zapisy tyczyły się wyłącznie kalendarza, a przekazy z okresu górskiego, mówiące o krwawych konfliktach dynastycznych, uważano za późne i niereprezentatywne. Najmłodsze budowle na Jukatanie zdobią dość wymowne przedstawienia, podobne do tych na boisku do peloty w Chichén Itzá, gdzie zwycięzcy raz po raz odrąbują głowy swym ofiarom. Uczeni ujrzeli w nich demoralizujący wpływ ludów środkowego Meksyku lub nawet sceny symboliczne nie odzwierciedlające realiów życia. Batalistyczne malowidła na ścianach można było z pewną dozą prawdopodobieństwa sklasyfikować jako ilustracje mitu. Posągi i stele królów w nizinnych miastach brano za obrazy bogów. Jednakże w 1946 r. odkryto pochodzące z VIII w. freski w Bonampak nad rzeką Usumacintą, gdzie z drobiazgowym realizmem przedstawiono sceny bitew i rytualnej rzezi jeńców. Trudno było nie dostrzec w nich przejawów tej samej tradycji, której owocem były o 300 lat wcześniejsze dzieła malarzy batalistów z Chichén Itzá.

Kiedy uczeni w latach 50. XX w. zaczęli robić postępy w odczytywaniu pisma Majów, wyszły na jaw prawdziwe cechy tego społeczeństwa. Okazało się, że wśród glifów jest mnóstwo nazw geograficznych. Zapisywano opatrzone datami tutejszej rachuby czasu wydarzenia, które nastąpiły na tym świecie, a nie tylko w ponadksiężycowym królestwie gwiazd i planet. Cel tak pieczołowitej chronologii, wyrafinowanej matematyki, całej tej astronomicznej ekstazy był całkiem świecki: chodziło o stworzenie ram historii dynastycznej. Inskrypcje podają imiona i daty panowania królów, ich przodków, ich wojny, opisują ich akty samookaleczenia i mnogość złożonych przez nich w ofierze jeńców. Place do gry w piłkę są dziś postrzegane jako boiska gimnastyczne dla wojskowej elity, a nie sceny, na których odgrywany był spektakl ruchu planet niebieskich. (Ostatnio sugeruje się, co prawda, że przypisanie zapiskom Majów wyłącznie kronikarskiego charakteru także było pochopne; badacze mogli pominąć elementy legendarne i związane z propagandą²⁹). W 1973 r. w ciągu jednej sesji na kongresie w Palenque została ogłoszona cała zapisana historia tego miasta obejmująca VII i część VIII w. n.e.³⁰ Było to tak, jakby kamienie nagle ożyły i przemówiły. To odczytanie dziejów wymarłej cywilizacji z pewnością zostanie zapamiętane jako jedna z najbardziej ekscytujących przygód współczesnej archeologii, a odkrycie, że była to cywilizacja w stanie permanentnej wojny (...) cóż, musimy je potraktować jako przykrą nauczkę.

Zdolność Tikal do produkcji żywności – a co za tym idzie, mobilizowania wojowników – dała jej subtelny przewagę nad sąsiadami w ciągłych walkach o zdobycze terytorialne i jeńców na ofiary. Efekty były dwojakie: sukces Tikal uczynił je magnesem dla najeźdźców i łakomym kąskiem, który zaczęła sobie wzajemnie wydzierać miejscowa arystokracja. W 378 r. notujemy przypadek imperialnej ekspansji – pewien szlachcic z Tikal, nazwany przez historyków Dymiącą Żabą (taki bowiem mniej więcej kształt ma glif jego imienia), został władcą pobliskiego miasta Uaxactun. W tym samym czasie władzę w Tikal przejmuje człowiek, którego nazwano Zakręconym Nosem. Nie oznacza to jednak stabilizacji politycznej. W 420 r. syn Zakręconego Nosa, Burzowe Niebo, odbiera tron jeszcze innej samozwańczej dynastii i dekoruje swoje pomniki sążnistymi tekstami usprawiedliwiającymi zamach stanu. Kolejnemu przewrotowi, jaki nastąpił pół wieku później, towarzyszy zmiana stylu portretowania władców. Dworscy propagandy-

ści musieli wciąż od nowa układać drzewa genealogiczne³¹. Chwiejność dynastyczna stała się immanentną cechą systemu; trudno było ją pogodzić z uświęconą odpowiedzialnością władcy, który musiał dbać o dobry nastrój bogów.

Być może konsekwencją szybkiej rotacji władców w VI w. jest regres gospodarczy. W 562 r. Tikal zostaje zdobyte przez rywalizujące z nim Caracol. Pomniki ulegają zniszczeniu. Przez ponad 100 lat miasto wciąż się kurczy, problemy z eksploatacją tropikalnej dżungli stopniowo stają się nie do przezwyciężenia. Glif oznaczający imię króla Ah Cacau przedstawia strąk kakaowca. Kakao było luksusowym towarem, cenionym zwłaszcza na północy, gdzie kakaowiec nie rośnie. Ożywienie gospodarcze w czasach Ah Cacau mogło się wiązać z nową strategią upraw, nastawionych na wysokowartościowy eksport. Ah Cacau szczycił się przywiązaniem do historii Tikal. Zapoczątkował kult Burzowego Nieba i przelewał swoją krew w rocznice chlubnych zwycięstw z zamierzchłej przeszłości miasta. Był patronem sztuk; zapewne jedyny zachowany klasyczny poemat Majów jest wyrzeźbiony na ołtarzu wzniesionym przez niego w 711 r. dla upamiętnienia spektakularnych astronomicznych koniunkcji, które przydarzyły się za jego rządów. Ponad wszystko zaś był nieznużonym budowniczym i to jemu Tikal zawdzięcza swą urodę. Kiedy słońce chyli się ku zachodowi, wciąż można podziwiać zblakłą świetność jego wizerunku patrzącego na miasto ze szczytu piramidy, którą wznosił jako swoje mauzoleum. Spoczął pod nią wyposażony w 180 tabliczek z pięknego jadeitu i kości, na których wryto, scena po scenie, jego podróż w zaświaty na łodzi bogów³².

Po 869 r. w Tikal nie zapisuje się już żadnych nowych dat i nie stawia nowych budowli. Wysuwano różne teorie – rewolucji, obcej inwazji, jakiejś zbiorowej traumy. Najprościej brzmi ta, że miasto toczące ciągłą walkę z wrogim środowiskiem w końcu się poddało. Szczątki jego mieszkańców z końcowego okresu wykazują oznaki niedożywienia. W ciągu 100 lat wszystkie wielkie miasta nizin spotkał ten sam lub podobny los.

Nie był to jednak koniec cywilizacji Majów. Najwyraźniej znalazła sobie lepsze miejsce na wyżynach Gwatemali i wapiennych wzgórzach Jukatana, gdzie po niewielkiej tylko przerwie rozpoczęto budowę nowych miast w starej tradycji. Mimo periodycznych katastrof naturalnych niektóre ośrodki, jak Iximché lub Mayapán, zachowały znaczenie aż do przybycia Hiszpanów w XVI w.; zostały po nich urzekające swym romantyzmem ruiny. Nigdy jednak nie osiągnęły pełnego zespołu cech, które do dziś budzą taki podziw dla „klasycznego” okresu zasiedlania nizin. Nie znajdujemy w nich żadnych inskrypcji w kamieniu i bardzo niewiele rzeźb. Prowadziły skromniejszą działalność, znacznie mniej wydając na dzieła sztuki i luksusową naukę. Była to jednak wciąż ta sama społeczność przechowująca dziedzictwo mitów i wspomnień, sięgających wstecz do epoki klasycznej. Kroniki pisane na korze zachowały ten sam kalendarz i podają tę samą mieszkankę dziejów i przepowiedni aż do chwili, gdy rozpoczęta w latach 40. XVI w., a zakończona dopiero w 1697 r. hiszpańska konkwista ostatecznie przerwała ciągłość historii Majów.

Dawny splendor już się nie odrodził; osady z biegiem czasu stały się coraz mniejsze i mniej liczne. Nie sposób już było zebrać tylu robotników, by wystawić monumentalną budowlę; brak było środków, by utrzymywać wyspecjalizowanych rzemieślników i artystów jak w poprzedniej epoce. Wielkość cywilizacji Majów przeszła do legendy, a nizinne miasta pochłonął las. Niczym zamki Śpiącej Królowej czekały, aż obudzą je archeolodzy. W tym (choć nie tylko w tym) kontekście przykład Majów każe wspomnieć o Angkorze.

Kochankowie węża: cywilizacja Khmerów nad Mekongiem

Angkor jest swoją własną kroniką. To jedna z najpotężniejszych i najwspanialszych ruin świata. Miasto zbudowano niemal 1000 lat temu; od 500 stało puste, niemal zaduszone oplecioną na nim dżunglą. Na światło dnia wydobyli je w XX w. archeolodzy. Dla mieszkańców Kambodży stanowi nie tylko przedmiot dumy narodowej (wielka świątynia Angkor Wat to jedyna budowla uwieczniona na fladze państwa), lecz także podłoże destrukcyjnej ideologii Czerwonych Khmerów, symbolizując wyżyny, do jakich może aspirować izolowana rolnicza społeczność w gorącej dżungli, która zgładziła burżuazję i nie dopuściła do siebie technologii przemysłowej. W oczach dzisiejszego turysty miejsce to ucieleśnia definicję cywilizacji – triumfu monumentalnej wyobraźni nad opornym terenem.

Obszar kulturowy, którego centrum był Angkor, obejmował spore terytorium. Zabytki khmerskie rozsiane są od Zatoki Syjamskiej do Wientianu i od Sajgonu do doliny rzeki Menam. Była to świadomie nizinna kultura, żyjąca w strachu przed mieszkańcami gór Dangrek i być może tocząca z nimi boje. Monumentalnym budownictwem zajęła się ok. VI w. n.e. Pod koniec VIII w. nabiera ono wyraźnego rozmachu, koncentrując się w Angkorze i jego najbliższej okolicy. Począwszy od połowy X w. Angkor jest już stałą siedzibą władców. Dyskretnie wyretuszowane otoczenie odzwierciedla wysublimowany gust estetyczny, podobnie jak ogrody krajobrazowe XVIII-wiecznej Anglii. Otacza je sacrum: parki i gaje, rezerваты myśliwskie i ogrody kwiatowe stanowią prawną i uświęconą własność bogów; wyrąb drzew jest zabroniony, oddanie kału lub moczu ściągą na świętokradcę surową karę w 32 piekielnych otchłaniach, których obrazy zdobią miejskie świątynie³³. Cały dostatek Khmerów pochodzi z rolnictwa. Angkor – w przeciwieństwie do innych średniowiecznych państw południowej i wschodniej Azji – nie miał kopalń, floty handlowej ani liczącej się wytwórczości. Bogactwo wielkiego miasta było efektem pewnej szczególnej hydrologicznej własności rzeki Mekong. Wezbrana monsunowymi deszczami, niesie za wiele wód, żeby zmieścić się we własnej delcie, i zaczyna się cofać, podtapiając równinę wokół Tonle Sap. W konsekwencji ziemia jest tak żyzna, że przy sprawnej irygacji i magazynowaniu wody w sztucznych zbiornikach pola ryżowe dają trzy plony rocznie.

Podobnie jak miasta Majów, monumentalne kompleksy Khmerów rosły przez nawarstwianie, a środki ciężkości miast przesuwają się w zależności od kaprysów władców i zmian dynastycznych. Ze względów ekologicznych Angkor mógł się rozrastać tylko w niedużym promieniu, lecz cała okolica usiana jest świętymi jeziorami, ośrodkami ceremonialnymi i miejscami kultu, kolejni bowiem królowie objawszy tron – nie raz w wyniku krwawych zmaganiań – przenosili królewskie sanktuaria i pałace. Efekt przypomina nieco właśnie świat Majów: podróżny niespodzianie natyka się w lesie na budynki z gładko obrobionego kamienia oddzielone od siebie ścianą drzew. Są też inne podobieństwa. Choć mury Angkoru na ogół są pokryte płataniną płaskorzeźb sprawiających wrażenie fałdzistej, bogato zdobionej draperii, czasem na mgnienie oka odsłania się uderzająca prostokątna geometria podstawowej konstrukcji: tysiące sztywnych kolumn i poprzecznych belkowań tworzą precyzyjne ramy każdej wielkiej budowli, nakryte dla niepoznaki ornamentem. Dzieła architektury Khmerów także są przeznaczone do oglądania z zewnątrz. Większość wewnątrz jest niska, ponura i niedostępna, podczas gdy place i aleje pod gołym niebem rwą oko orgią kształtów. Święte przybytki mieszczą się wysoko, dociera się do nich po stromych schodach; wejście to męka, a zejście przyprawia o zawrót głowy. W obu kulturach kamienne pomniki noszą zapis wyda-

rzeń astronomicznych i odtwarzają boską matematykę wszechświata. Rzeźby i epigrafy Majów epoki klasycznej skupiały się na historiografii i gloryfikacji królów. W tradycji Khmerów przeciwnie – sztuka zarezerwowana była do przedstawień niebios i taka praktyka trwała do XII w., kiedy to król Surjawarman II poważył się na śmiały, świętokradczy bez mała czyn, którym musiał poważnie zgorszyć konserwatywnych poddanych. Kazał on wyrzeźbić własną podobiznę na ścianie swego koronnego dzieła, największej świątyni na świecie – Angkor Wat. Wcześniej tylko zmarli monarchowie lub ich przodkowie honorowani byli portretami w monumentalnej rzeźbie. Teraz cześć dla żyjących królów zaczęła wypierać kult nieśmiertelnych bogów.

Surjawarman wielokrotnie pojawia się w jednej ze świątynnych galerii. Szczególnie piękny wizerunek przedstawia go wyposażonego w parafernalia khmerskiej monarchii stanowiące niejako zestaw środków obronnych przed klimatem – parasole od słońca, wachlarze przeciw duchocie; rozwiane od bioder sute fałdy szaty dokumentują sztucznie wywołany ruch powietrza³⁴. Z dłoni zwisa mu martwy wąż. Może to aluzja do objęcia przez niego władzy: uśmiercił sędziwego poprzednika, wskoczywszy na niosącego go słonia „jak święty ptak garuda, stając na szczycie góry, zabija węża”. Reliefy pokazują także stworzenie świata, kosmiczny bój dobrych i złych bogów i ubijanie morza, by niczym w maselnicy uzyskać z niego eliksir życia. Harmonijny i doskonały Angkor Wat to manifest ideowy; uzasadnia panowanie Surjawarmana początkiem nowej ery brahmanistycznej kosmologii, dobroczynnej Krita Juga³⁵.

Zgodnie z hinduistyczną tradycją okres pokoju i dobrobytu miał trwać 1,728 mln lat. Złoty wiek Surjawarmana zakończył się przypuszczalnie 10 lat po koronacji, ok. 1128 r., na skutek wielu porażek w lądowych i morskich bitwach z Wietnamem i Czampą. A jednak wielkość Angkoru odżywała raz po raz. Czou Ta-kuan, chiński wysłannik w misji dyplomatycznej do królestwa Khmerów w 1296 r. zdołał jeszcze zobaczyć Kambodżę w pełnej krasie. „Jeden tylko biały parasol” króla Śrindawarmana ocieniał cały kraj, nad którym w okresie walk o sukcesję otwierały się i zamykały parasole licznych pretendentów. Czou przekonał się, że „choć jest to kraj barbarzyński, wiedząc, jak traktować króla”. Śrindawarman jeździł w złotym palankinie; na dźwięk konch piękne służki rozchyłały zasłony, ukazując władcę rozpartego na tronie wyścielonym lwią skórą. Poddani bili wówczas czołem o ziemię i pozostawali tak, dopóki konchy nie ucichły i teatr władzy nie ruszył w dalszą drogę.

Czou pochwalał manifestacje stosownej czci, ale niektóre inne zwyczaje budziły w nim niesmak – np. jawny homoseksualizm, który dopiekl mu szczególnie, gdy miejscowi natarczywie oferowali mu swe usługi. Potępiał niestałość khmerskich żon, których wierność nie wytrzymywała dwutygodniowego rozstania. Zafascynowały go wieści o rytualnej defloracji dziewic, dokonywanej palcem przez specjalnie w tym celu wynajętego mnicha. Prawdę rzekłszy, zabawy mnichów stanowiły mocno eksploatowany topos konfucjańskiej literatury, a zresztą informacje udzielone Czou niekoniecznie musiały być prawdziwe. Radość ze zwiedzania psuł mu nieznośny upał, który jego zdaniem zachęcał do nadmiernie długiego wylegiwania się w kąpielu, co z kolei mogło prowadzić do choroby. Na równi z Khmerami bał się dzikich plemion leśnych i górskich, mordujących się ochoczo za pomocą włóczni i zatrutych strzał. Równocześnie jednak z jego słów bije podziw dla wyrafinowanej cywilizacji.

„Zdaje się, że dla takich widoków chińscy kupcy od początku wychwalali Kambodżę jako krainę bogatą i szlachetną” – napomyka, opisując 11-kilometrowy mur i 5 jego bram. Gdziekolwiek spojrzeł, oślepiał go blask złota, świadczący o wartości eksportu Kambodży, w kraju bowiem nie było złóż tego kruszcu. Po wschodniej stronie złote lwy

strzegły złotego mostu opartego na gigantycznych podporach pokrytych wizerunkami Buddy. Złota wieża w centrum miasta i tak jeszcze nie dorównywała pięknem innej, miedzianej. Królewska sypialnia znajdowała się na szczycie trzeciej wieży, znów złotej. Tam to, jak wieść głosi, by zapewnić krajowi trwałość i dostatek, król co noc współżył z dziewięciogłowym wężem. Legenda ta wydaje się sięgać korzeniami do prawdziwego khmerskiego zwyczaju: „królewskość” jako zasada legalnej władzy mieściła się w fallusie symbolizującym potęgę boga-stwórcy, który obdarzał nią króla. Symboliczną rzeźbę tego członka trzymano w wieży stojącej w centrum stolicy – przedstawiała ona górę w środku wszechświata, na której dokonywała się sekretna komunika króla z bóstwem. Mnogość wyobrażeń węży w Angkorze z pewnością wystarczyła, by przekonać Chińczyka, że wąż i bóg to jedno³⁶.

Relacja Czou zatracza o niedawne wydarzenia z historii Khmerów. Większość dzieł, które podziwia, datuje się na okres panowania wielkiego króla Dżajawarmana VII, zmarłego 3/4 wieku wcześniej. Mury, fosy, południowa brama i wieże Angkor Thomu były tylko ukoronowaniem potężnej kampanii budowlanej, w efekcie której miasto otoczyło się wieńcem świątyni i pałaców, stacji pocztowych i – podobno – ponad setką szpitali, ozdobionych gigantycznymi ludzkimi twarzami. Na steli w Ta Prohm wyryta jest proklamacja polityki zdrowotnej Dżajawarmana:

Król odczuwa bólczki poddanych dotkliwiej niż własne, cierpienie ludu bowiem rani króla bardziej niż to, co jego nęka [...]. Zatraskany o dobro świata król wyraża takie oto życzenie: obym tym zbożnym uczynkiem zdołał dopomóc wszelkim duszom pogrążonym w oceanie istnienia. Oby wszyscy miłujący prawo królowie Kambodży podjęli moje dzieło zyskując dla siebie samych, swych potomków, ich żon, urzędników i przyjaciół raj ocalenia, w którym nie będzie już żadnych chorób³⁷.

Przydziały żywności dla szpitali dają pojęcie zarówno o skali problemu, jak i o bogactwie Khmerów: 11 192 tony ryżu rocznie pochodziło z danin 81 640 rolników w 838 wioskach. Do tego 4682 funty sezamu, 231 funtów kardamonu, 3402 gałki muszkatułowe, 48 tys. pigulek na gorączkę, 1 960 pudełek maści na hemoroidy, odpowiednie do tego ilości miodu, cukru, kamfory, czarnej gorczycy, kminku, kolendry, kopru, imbiru, pieprzu szypułkowego, wonnej trawy kuskusowej, cynamonu, gorzkich mirabelek i octu z czerwonych owoców rodzimej kruszyny, którymi – jak chcą niektórzy – żywili się Loto-fagowie.

Najskuteczniejszym środkiem profilaktycznym była modlitwa; stela fundacyjna w Ta Prohm daje pojęcie o bogactwie świątyni dedykowanej w 1186 r. matce Dżajawarmana jako obrazowi „Doskonałej Mądrości”. Przeznaczono dla niej daniny z 3140 wiosek. Inwentarz obejmował ponad półtonowy zestaw złotych naczyń i podobny srebrnych, 35 brylantów, 40 620 pereł, 4540 drogich kamieni, olbrzymią złotą czarę, 876 chińskich zasłon, 512 sztuk jedwabnej pościeli, 523 parasole oraz 2387 strojów dla 260 posągów. Utrzymanie miejsca kultu obejmowało też codzienne wyżywienie dla 5000 stałych mieszkańców, a zatem konieczny był ryż, masło, mleko, melasa, olej, przyprawy i miód, ponadto zaś coroczne dostawy wosku, drzewa sandałowego i kamfory.

Dokonawszy tych dobrych dzieł – konkluduje inskrypcja – król z synowską miłością zmówił tę oto modlitwę: oby dzięki moim dobrym uczynom matka moja, ocalona z oceanu wcieleń, mogła cieszyć się jednością z Buddą³⁸.

Buddyzm jako religia państwowa zawdzięcza swój triumf pobożnej żonie Dżajawarmana. Gdy mąż był na wojnie, ona szukała pocieszenia „na błogiej ścieżce mędrców, która wiedzie między ogniem namiętności a morzem smutku”³⁹. Masywny gmach

świątyni Bajon – „złotej wieży” z opisu Czou Ta-kuana – przywodzi na myśl kurhany stanowiące ośrodek starożytnych khmerskich stolic; jej wewnętrzne komnaty wszakże nie są mieszkaniem „niebiańskich królów” lecz Buddy, którego twarze „patrzają na wszystkie strony” z zewnętrznych fryzów. Postać Buddy jest zarazem apoteozą króla-założyciela. Zainicjowane przez Dżajawarmana przejście do monoteistycznej kultury dworskiej w czasach Czou jeszcze nie dokonało się ostatecznie, korzenie hinduizmu bowiem były silne.

Miasto powielalo plan świątyni. Oba odwołują się do boskiej wizji świata, wspólnej w hinduistycznej i buddyjskiej kosmologii: stercząca w środku góra, koncentryczne kręgi, zewnętrzny mur z kamienia i otaczające go wody. Z grubsza tylko ukształtowana przez bogów natura musiała zostać wyczelowana ręką ludzką, aby sprostać boskiemu ideałowi. Ramakandra Kaulakara, XI-wieczny architekt z Orissy, gdzie pod panowaniem muzułmańskim powstały najpiękniejsze hinduistyczne świątynie, tak ujął podstawowe zasady, według których zbudowany został Angkor:

Stwórca [...] nakreślił plan wszechświata zgodnie z miarą i liczbą [...]. On jest wzorcem budowniczego świątyni, ucieleśnia także w jednej osobie architekta, kapłana i rzeźbiarza [...]. Mały ziemski kosmos musi być usytuowany w zgodzie z wielkim [...] musi odzwierciedlać kierunek ruchu słońca i tory planet [...]. Daleki od prostej arytmetyki, którą dałoby się odmierzyć prętem, projekt świątyni [...] w pewnym sensie uśrednia nierównomiernie drogi Słońca, Księżyca i planet [...], symbolizując też wszystkie powtarzające się sekwencje czasowe – dzień, miesiąc, rok⁴⁰.

Ośrodkiem XI-wiecznego zespołu pałacowego wzniesionego przez króla Udajaditjawarmana II jest wieża ozdobiona charakterystyczną inskrypcją: „Wierząc, że góra Meru wyznacza centrum wszechświata, uznał za słusne, aby mieć Meru w środku swojej stolicy”⁴¹. Napisy rozmieszczone przez Dżajawarmana VII w Angkor Thom uświęcają centralną wieżę, zewnętrzne mury i otaczającą je fosę, wpisując się w tę samą tradycję: „Pierwsze przebija jaśniejące niebo swą iglicą, drugie sięga w głąb do niezmiernych głębin świata węży. Te oto Góra i Ocean zwycięstwa wzniesione przez króla przedstawiają zasięg jego wielkiej chwały”⁴². Za panowania Dżajawarmana uczeni hinduiści z Birmy zjeżdżali się wciąż do Kambodży po wskazówki rezydujących tu licznie „prześwietnych znawców Wedy”. Sanskryckie napisy, które z sąsiedniego królestwa Czampy znikły w 1253 r., w Kambodży powstawały do 1340 r.⁴³

Monumentalne budownictwo w Angkorze skończyło się ponad 100 lat wcześniej. Nie dajmy się zwieść mitologii Czerwonych Khmerów: Angkor nie był tylko zapatrzoną w siebie rolniczą społecznością. Jeden z reliefów Bajonu przedstawia morski świat Azji Południowo-Wschodniej, od którego Angkor bynajmniej się nie odciął. Morze obfituje w faunę; uwijają się po nim łodzie rybackie, eleganckie jachty o pokładach ocienionych parasolami, okręty wojenne i głęboko zanurzone statki handlowe. Ale Khmerowie nie prowadzili dalekosiężnego handlu zagranicznego w taki sposób i na taką skalę, jak Sriwidżaja na Sumatrze czy Majapahit na Jawie, które w wiekach średnich odniosły realny sukces. Władcy Angkoru nie mogli bez końca utrzymywać wielkiej armii ani jak dawniej finansować potężnych inwestycji budowlanych. Z czasem coraz ciężiej było zamienić ryż na złoto. Począwszy od XII w. powierzchnia upraw ryżu w południowo-wschodniej Azji znacznie wzrasta. Pod patronatem władców i instytucji religijnych w rejonach mniej hojnie uposażonych przez naturę karczkuje się lasy i uprawia ziemię za pomocą nowych technik. Państwo Tajów jest coraz bogatsze, dynamiczne i agresywne, gdy tymczasem Khmerowie ulegają stagnacji. W latach 30. XV w. wycofują się na bar-

dziej zwarty obszar obronny ześrodkowany wokół Phnom Penh, pozostawiając doszczętnie ograbiony przez Tajów Angkor na pastwę dżungli.

Miasto Śmierci

Ku rozczarowaniu odkrywców, w tropikalnej Afryce nie ma niczego na miarę Tikalu lub Angkoru. Jest tam wszakże Benin. W pierwszych stuleciach ekspansji morskiej Europejczyków splendor Beninu przywrócił białym utraconą wiarę w zdolność Afrykanów do stworzenia własnej cywilizacji. Baśniowa fama dawnego Mali, facynująca umysły XIV-wiecznego Zachodu, rozwiła się podczas wizji lokalnej. Choć portugalska monarchia traktowała królów Kongo jak sobie równych, a Murzyni wysokiego rodu zasilali szeregi księży, a nawet biskupów, bliska znajomość zrodziła pogardę; osiedli w Kongo Portugalczycy nie kryli odrazy do krajowców. Nawet wielkość Etiopii zasiodła Europę podekscytowaną legendą księdza Jana. Mwene Mutapa oparło się portugalskim najeźdźcom w latach 70. XVI w., lecz w zachodniej literaturze przedstawiano je raczej jako siedlisko dziwnego i egzotycznego barbarzyństwa.

Tymczasem wśród powszechnego lekceważenia Benin długo stanowił wyjątek. Holenderska grawiura z 1668 r. przedstawia duże miasto o regularnym układzie, ozdobione wieżycami, na których przysiadły wielkie rozkrzyczane ptaki – można w nich rozpoznać niebieskich posłańców, popularny motyw ocalałych dzieł benińskiej sztuki brązowniczej. Jedno z nich przedstawia model królewskiego pałacu z bogato zdobionymi ścianami i stożkowym dachem nad centralną komnatą, dowodząc, że wersja rytonnika, acz może przesadzona, miała pokrycie w rzeczywistości⁴⁴.

Sława Beninu stopniowo rosła począwszy od chwili, gdy na początku XV w. miasto wyłoniło się spośród garstki mniejszych społeczności⁴⁵. Zapewne była ona zasłużona, dziwne jednak, iż Benin zaskarbił sobie podziw Europejczyków. Był przecież gorącą i wilgotną wylęgarnią malarii, obdarzoną takim właśnie klimatem, jaki powszechnie uważa się za wrogi cywilizacji. W rynnach królewskiego pałacu dudniło rocznie 2 m opadów; deszcz zagłuszał króla w czasie audiencji. Według wiarygodnych relacji obejmujących okres od 1538 r.⁴⁶, dwór cuchnął gnijącymi szczątkami ludzkich ofiar. Budowle, choć spektakularne, ulepione były z gliny – tworzywa tradycyjnie wzgardzonego przez europejskich arbitrów architektury. Jednakże Benin miał tę przewagę, że Europa poznała go w końcu XV w., gdy potęga państwa sięgała właśnie szczytu. Przewaga w boju i zręczność w rzemiośle wyniosła go ponad inne polis nad dolnym Nigrem. Sztuka i wojna połączyły się w kulcie podobnych bogom władców, którzy – jak wierzono – obywali się bez snu i pożywienia.

Dzieckiem tych dwóch rzemioł, w których celowali Benińczycy, są także wota ołtarzowe – pełne wyrazu stylizowane mosiężne głowy królów i królowych matek. Od połowy XVIII w. zdobiono je dodatkowo misternie rzeźbionymi słoniowymi kłami sterczącymi niczym pióropusze. Nie znano tu pisma, ale pałacowe plakiety pokryte płaskorzeźbami scen dworskich i ważnych bitew tworzą kartotekę, do której sięgano, ilekroć wynikł jakiś spór w kwestiach etykiety⁴⁷.

Na ołtarzowych pierścieniach, których cel dawno popadł w zapomnienie, sępy żerują na zwłokach spętanych, zakneblowanych lub rozczłonkowanych pokonanych jeńców. Włócznie, tarcze, miecze i odcięte głowy zdobią świątynne sprzęty. Masywne wały usypane z ziemi wydobytej z nieistniejących już dziś kanałów są „zapisanym w ziemi długim procesem fuzji na wpół rozproszonych grup w obronną społeczność miejską”⁴⁸.

Ta konsolidacja, która zdarzyła się ok. połowy XV w., stanowi cezurę, za którą widzimy już państwo zdobywcze. Benin zbiera poddanych, daniny i niewolników z coraz większego obszaru, który w początku XVII w. ma już ponad 500 km średnicy, opiera się o Niger i o morze, kolonizuje bagniste rejony nad rzeką Benin i sięga na zachód aż po Lagos⁴⁹.

Kiedy trzeba było prosić bogów o urodzaj lub powodzenie w boju, składano ofiary z ludzi – a także krokodyle, papłetwce, orzeszki kola, liście palmowe (symbolizujące palmowe wino), bydło drobnej odmiany przystosowanej do warunków leśnych⁵⁰ oraz kozłeta. Każde z nich stanowiło luksusowy rytualny pokarm, na co dzień spożywany raczej rzadko. Wysoko cenione w kręgach dworskich orzeszki kola mają gorzki smak i stymulujący efekt; królowie częstowali nimi przybyłych wodzów i używali jako luksusową przyprawę⁵¹. Przynajmniej od początku XVI w. podstawowym pożywieniem był jam. Źródłem bogactwa nie było rolnictwo, lecz handel. Niewolnicy rzadko stanowili istotniejszą pozycję w ofercie handlowej Beninu (a na pewno nie tak istotną, jak w sąsiednim Dahomeju) – być może dlatego, że gdy była jakaś nadwyżka jeńców, Benińczycy woleli ją zatrzymać do własnego użytku. Ponadto europejskich handlarzy niewolników odstręczały choroby, znacznie częstsze niż w nadmorskich faktoriach. Królestwo nie było też bogate w metale: importowało większość miedzi i całość gotowego mosiądzu wchodzącego w skład stopów używanych przez tutejszych metaloplastyków. Dość dobrą opinią cieszyły się tkaniny bawełniane, a przyprawa zwana pieprzem benińskim pozwoliła nawiązać kontakty handlowe z Europejczykami⁵². Do czasu boomu na olej palmowy w końcu XIX w. najcenniejszym dobrem tego regionu była kość słoniowa i to Benin był jej głównym dostawcą na europejskie rynki⁵³.

W owym czasie szczyt potęgi królestwo miało już za sobą. Gnuśni królowie XVII w. zwani *oba* zaprzestali toczenia wojen, ograniczyli się do odprawiania rytuałów i zamknęli w pałacach, gdzie tracili stopy koralowych paciorków w grach hazardowych i korzystali z usług 500-osobowego haremu. Dążenie do odnowy, podjęte pod sam koniec XVII w. przez niezwykle ambitnego Akenzuę I, kosztowało go wojnę domową i dalsze osłabienie hegemonii Beninu nad sąsiednimi ludami⁵⁴. Mistrzowskie dzieła sztuki z połowy XVIII w. świadczą o ożywieniu gospodarczym. Benin nigdy nie opierał się na handlu niewolnikami i dlatego załamanie tegoż handlu go nie dotknęło – gdy w połowie XIX w. inne państwa upadły, Benin przetrwał. Gdy jednak rywale zaczęli się bogacić na rosnącym popycie na olej palmowy, Benin wybrał izolację.

Obojętność na wymogi rynku stała się powodem interwencji brytyjskiej. Składanie ofiar z ludzi, które nasiliło się w XIX w., cechując się coraz bardziej wyrafinowanym okrucieństwem, dostarczyło Anglikom niezbędnego pretekstu. *Oba* Ovonramwen, który przejął władzę w 1891 r., przybrał butną postawę w nadziei, że ukróci imperialne zapędy białych, ale jego rządy były coraz słabsze i nie był w stanie zapanować nad rozjuszonymi wodzami. Do wymordowania brytyjskiej misji w 1896 r. doszło z pewnością bez jego wiedzy i woli⁵⁵. Ale na reakcję Brytyjczyków nie trzeba było długo czekać. Gazety wzywały do podboju i aneksji Beninu – „chwalebne dzieła [...] świętej wojny przeciwko Miastu Śmierci”⁵⁶. Fotografie zrobione przez członków ekspedycji odwetowej ukazują zaniedbane miasto i popadający w ruinę pałac – zanim jeszcze angielska artyleria obróciła go w kupę gruzu.

Każda cywilizacja lub protocywilizacja tropikalnych nizin została albo zduszona w zarodku, albo zepchnięta z drogi ku wielkości. Ich pomniki zarosła dżungla, pochłonęły bagna. Choć niektóre tego typu ekosystemy zapewniają dostatek środków do życia, równowaga większości z nich jest krucha. Praktycznie każda cywilizacja lasu

deszczowego została w końcu pokonana przez przyrodę; wielkość i długowieczność niektórych jest bardziej zaskakująca niż ich późniejszy upadek. Rozwiązania zastosowane przez budowniczych cywilizacji w dżungli i na moczarach wykazują liczne podobieństwa: Angkor przypomina miasto Majów; kurhany Olmeków przywodzą na myśl Majaharo; polityczna organizacja cywilizacji Beninu opierała się na systemie rywalizujących miast-państw tak jak świat Majów. Bardziej jednak rzucają się w oczy różnice. Możliwe, że nigdy nie uda nam się wyjaśnić, dlaczego dokonania cywilizacji w tropikach są tak nierównomierne. Dlaczego Omagua czy lud Majaharo nie budowali na skalę Olmeków, a mieszkańcom wyspy Frederika Hendrika nie udało się osiągnąć nawet zbliżonego poziomu? Jakim cudem Majowie zdołali przełamać ograniczenia wyjątkowo trudnego środowiska w sposób niemający odpowiednika nigdzie poza Angkorem, gdzie warunki naturalne były znacznie bardziej sprzyjające? Zapytajmy ogólniej: dlaczego niektóre lasy deszczowe rodzą wielkie cywilizacje, inne udaje się tylko nieco zmienić, a są też i takie, których mieszkańcy ograniczają się do zbieractwa, kontentując się tym, co daje im natura, i nie starając się jej ulepszyć? Choć te problemy pozostają nierozwiązane, należy mocno podkreślić jeden wniosek: wilgotne dżungle i bagna są areną takich samych ambicji cywilizacyjnych, jak inne środowiska. Tam, gdzie owe ambicje odniosły sukces, zaskakują nas w dżungli zaginione miasta. Znajdujemy je wszakże dostatecznie często, by niczemu się już nie dziwić.